



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Z DZIEJÓW WIEDZY *).

IV. Pytagoreizm i matematyka.

Kiedy w koloniach umieszczonych na wybrzeżach Azji mniejszej wytwarzała szkoła jońska początki teorii przyrodniczych, na drugim prawie końcu ówczesnego świata cywilizowanego—w Sycylii powstała inna szkoła filozoficzna, która założyła podstawy nauki o liczbach, a stosując ją do filozofii wytworzyła pojęcia miary i proporcji, bez których niemożliwe jest naukowe pojmowanie świata.

Od założyciela swego Pytagoresa szkołę tę nazywano *pytagorejską*. Sam Pytagores żył w VI-tym stuleciu przed N. Chr. Głównem jego dziełem był zdaje się nie tyle systemat naukowy, ile reformatorstwo na polu religijnem i moralnem. I pod tym względem uzupełnia on tę pracę, którą wykonywała szkoła jońska i jak poemata filozoficzne tej szkoły starały się pojęciami rozumowemi zastąpić stworzone przez wyobraźnię poetyczną myt i wytłumaczyć: „naturalnie“ powstawanie i budowę świata, tak Pytagores usiłował przekształcić pojęcia religijne poetów mytologicznych i dać trwalsze podstawy dla moralności, zachwianej dzięki rozkładowi dawnych przepisów i pojęć. W tym celu założył on w Krotonie związek religijny, który niebawem rozpowszednił się po całej Grecyi, członkowie jego dbali o czystość w stosunkach prywatnych a cenili przede wszystkim zajęcia naukowe i artystyczne. W ten sposób związek ten religijny początkowo

i polityczny (w polityce hołdując zasadom arystokratycznym, sprzeciwiał się on panującemu wówczas w całej Grecyi dążeniu ku demokracji), przeistoczył się niebawem w stowarzyszenie naukowe i filozoficzne.

Zamiłowanie do matematyki i muzyki cechowało najdawniejszych pytagorejczyków, wynalezieniem tabliczki mnożenia zarówno jak znanego teorematu geometrycznego przypisują założycielowi tej szkoły; on też dostrzegł związek matematyczny pomiędzy długością struny a wysokością tonu i zauważył, że tony harmonijne są w prostym do siebie stosunku matematycznym. Tak np. oktawa zawiera 2 razy tyle drgań (struna dwa razy krótsza) co ton zasadniczy; kwinta $\frac{4}{3}$ i t. d.

Zajęcia matematyką łatwo doprowadziły do spostrzeżenia, że wszystko można wyrazić za pomocą miary i liczby; ztąd dalsze przejście do myśli, że *istotną podstawą wszechrzeczy jest liczba*—wszystko bowiem można zmierzyć i wyrazić liczbami. W ten sposób zamiast materialnej zasady (jak woda Taleasa lub *arche* Anaximandra) za podstawę pojmowania świata przyjęto *formalną*—liczbę, która ma być pierwowzorem wszechrzeczy. To zaś znowu doprowadziło do pojęcia harmonii i proporcji jako podstawy budowy wszechświata, do poglądu nań jakby na olbrzymi zegar, odbywający swoje miarowe ruchy wiecznie i niezmiennie.

Naukę tę szczególnie rozwijał Filolans, żyjący ku końcowi V-go stulecia przed Chr.

Najbardziej charakterystyczną jest astronomia pytagorejczyków. Wszechświat wyobrażali oni jako olbrzymią kulę (najdoskonalsza z form geometrycznych); pojedyncze planety również uważano za ciała kuliste; obracające się w kryształowych sferach dokoła ognia środkowego, niewidzialnego dla mieszkańców ziemi, gdyż ta odwrócona jest stale od niego zamieszkałą swą stroną. Ziemia jest również kulą, tak samo jak słońce, księżyc i inne planety obracające się dokoła owego ognia środkowego. Odległości sfer kryształowych, unoszących

pojedyncze planety miały być do siebie w prostych stosunkach matematycznych, a więc według wyobrażeń pytagorejczyków wydawać musiały tony zlewające się w jeden harmonijny akord—t. zw. *harmonia sfer*—doskonałe obrazowe przedstawienie jedności wszechświata.

Ważnym krokiem naprzód w tem wyobrażeniu o świecie jest zdegradowanie ziemi z jej stanowiska w środku wszechświata, myśl olbrzymiej wagi, która jednak dopiero wtedy zyskała uznanie powszechne, gdy Kopernik dał jej ściśle naukowe podstawy, umieszczając słońce w miejscu fantastycznego ognia pytagorejczyków.

Pierwsze te dwie szkoły—jońska i włoska wytworzyły podstawy myślenia naukowego, wprowadzając pojęcie jedności wszechświata, porządku w nim, trwałości materialnej jego podstawy i niezachwianych stosunków liczbowych rządzących nim. Dalsze szkoły dodały do tych nowe pojęcia i ściślej rozczłonkowały dawne. Przebiegniemy tu je w krótkości.

Atomisci (założycielem szkoły był Lenecyp) ucyli, że wszystko się składa z bardzo drobnych, niewidzialnych oku cząsteczek, które nazwano *atomami* (co znaczy niepodzielne, gdyż przypuszczano, że cząsteczki te nie dają się podzielić), z połączenia i ruchu, których powstają rozmaite rzeczy.

Światy powstają przez nagromadzenie atomów i znikają przez ich rozproszenie. Z nauki tej skorystała późniejsza wiedza, zapożyczając od niej samą myśl atomu oraz mechanicznego oddziaływania atomu na atom.

Eleaci nazwa ta pochodzi od miasta Elea pierwsi zwrócili uwagę na to, że nie wszystko może być w rzeczywistości tak, jak się nam wydaje. Twierdzili oni, że w naturze nic się nie zmienia, a wszelka zmiana jest tylko pozorem, złudzeniem zmysłów oraz że wszystko stanowi jedną całość, a oddzielność przedmiotów jest tylko złudzeniem. Jeden z nich Zenon, szeregiem dowodzeń starał się przekonać, że żaden ruch jest niemożliwy. Tak strza-

*) Początek tego artykułu drukowany był w „Bluszezu“ w r. 1893, w Nr 31, 32 i 46.

ła, puszczona z łuka, jeśli ją wyobraźmy w jakiejkolwiek chwili lotu, jest w pewnym miejscu, t. j. w spoczynku; w następnej chwili — również i t. d.; z szeregu zaś spoczynków nie może powstać ruch. — Achilles prędko biegnący nie może dopędzić żółwia, gdyż w chwili, gdy Achilles stanie w tem miejscu, gdzie był żółw, ten posunie się cokolwiek naprzód; gdy Achilles dobiegnie do tego drugiego miejsca, żółw znowu się odsunie i t. d.

Te dowodzenia wykazywały, że rozumowanie może nas doprowadzić do innego wniosku niż spostrzeżenie zmysłowe (naoczne). Aby objaśnić to przykładem naocznym przypomnijmy, że co dnia widzimy słońce, wschodzące, obiegające niebo i zachodzące, a jednak rozumowanie przekonywa nas, że nie słońce się rusza, lecz my wraz z ziemią. Eleaci więc pierwsi rzucili myśl, że wiedza zależy od organów poznania t. j. zmysłów i rozumu ludzkiego. Myśl tę przyjął i *Heraklites*, twierdził jednak przeciwnie, że nie ruch jest złudzeniem, ale spokój. W rzeczywistości „wszystko płynie” jak się wyrażało, t. j. nie ma spoczynku, wszystko przemija. Tak strumień fontanny zachowuje pozorną stałość, kiedy woda wchodząca w jego skład, ciągle przemija. „Wszystko jest w walce” mówił on, a ogień jest siłą przemieniającą wszystko. *Empedokles* łączy nie jako naukę eleatów i Heraklitesa: przyjmuje on 4 żywioły (ogień powietrze, woda i ziemia) i dwie siły, z których jedna — miłość (przyciąganie) łączy, druga — nienawiść (odpychanie) rozdziela. Wreszcie *Anaxagoras* pierwszy wypowiedział myśl o duchowym pierwiastku, rządzącym światem, który nazywał *nus* (rozum).

Safiści posunęli tę myśl eleatów tak daleko, że zupełnie zaprzeczili możliwości poznania. Twierdzili oni, że prawdą jest to, co nam się wydaje, ale dziś nam się wydać może jedno, jutro — co innego, jednemu inaczej niż drugiemu. Prawdy więc nie ma. „Człowiek jest miarą rzeczy.”

V. Rozkwit filozofii greckiej.

Zwątpienie o możności poznania zagrażało upadkiem nie tylko wiedzy, ale i społeczeństwu greckiemu. Bo coż może być zgubniejszego nad naukę, że prawdy nie ma, że prawda lub błędność zależy jedynie od sposobu zapatrywania się, od biegłości dowodzenia? Skoro nic pewnego nie ma w wiedzy, czy nie nasuwała się naturalnie myśl, że i w moralności wszystko jest względne? — a z tą myślą zatrzeć się powinna była granica między złem i dobrem.

Ocalił wiedzę z tego trudnego położenia *Sokrates* (ur. 469 w Atenach um. 399), od którego rozpoczyna się nowy okres filozofii greckiej — okres *antropologiczny* (*antropos* — człowiek), nazwany tak dla tego, że odwracając uwagę od natury, skupił ją na człowieku, na samym poznającym umyśle. „Poznaj samego siebie!” takie jest zasadnicze twierdzenie Sokratesa. Nie tylko przeciw nauce sofistów powstał Sokrates, mówiąc: Skoro nic nie wiecie, jak możecie twierdzić, że prawdy nie ma? ale i przeciw ich chciwości i zbyt kownemu życiu — safiści bowiem chętnie pobierali pieniądze za naukę, wyszukując uczniów bogatszej klasy — przeciw nadużyciu *dialektyki* — sztuki prowadzenia sporów, wyrobionej przez nich, a którą się posługiwali dla zagmatwania prawdy. Dlatego też Sokrates zwraca się przeważnie do klas ubogich, uczniów swoich wyszukuje na rynku wśród rzemieślników niewycieczonych w fałszywej dyalektyce sofistów.

Jeśli prawdą jest to co nam się zdaje, to pomiędzy rozmaitemi zdaniem te będą prawdziwe, na które wszyscy się zgodzą, które jasne są dla każdego zdrowego umysłu i nie potrzebują żadnego osobliwego przygotowania.

„Zgodność wszystkich” — taki jest probierz prawdy dla Sokratesa. A metoda jego, polegająca na zadawaniu pytań, tak aby doprowadzić niemi ucznia do pewnej odpowiedzi, przyczynia się do wyrobienia dokładnych określeń przedmiotów. W przeciwstawności do właściwego grekom uwielbienia piękna zmysłowego, cielesnego, Sokrates kładł nacisk na piękno moralne, duchowe, a sam dał wzniósł przykład tego rodzaju piękna w spokoju, z jakim przyjął wyrok śmierci od współziomków

swoich: Ateńczycy bowiem oskarżywszy go o brak uszanowania dla bogów i o zepsucie młodzieży, skazali na wypicie czaszy cykuty.

Z pomiędzy uczniów Sokratesa niektórzy założyli szkoły. Z nich dwie zasługują na uwagę naszą: szkoła *cyników*, którzy uczyli, że cnota jest najwyższym dobrem, jedynie potrzebnym do szczęścia. Do tej szkoły należał *Diogenes*, który posunął pogardę dla wszystkich wygódek życia do tego stopnia, że mieszkał w beczce a na propozycję *Alexandra Wielkiego*, aby zażądał od niego czegokolwiek, odpowiedział z godnością filozofa: „usuń się, bo mi słońce zasłaniaasz.” Jakże musiał być zdziwiony ów zaboreca, przed którym wszystko drżało, któremu wszystko schlebowało, który sądził, że jednym słowem uszczęśliwić może każdego, na widok tego filozofa w łachmanach, pogardliwie odrzucającego ofiarowaną mu łaskę!

Wprost przeciwną naukę głosiła szkoła *cyrenajska* założona przez *Aristippa*, która w użyciu widziała najwyższe dobro. Była to ulubiona filozofia złotej młodzieży ówczesnej, która tak samo jak złota młodzież wszystkich epok historycznych, chętnie odstępowała promienny wieniec cnoty za soczewiczną polewkę rozkoszy chwilowej.

Ale prawdziwy wszechstronny rozwój myśli Sokratesa znajdujemy w filozofii największego z uczniów jego *Platona* (ur. 427, um. 347), od którego rozpoczyna się nowy zwrot w filozofii starożytnej. Okres ten nazywamy *okresem wielkich systematów*, bo tak Platon jak i uczeń jego *Arystoteles* wytworzyli jednolite systemata, wiążące w zgodną całość odpowiedzi na wszystkie zagadnienia, jakie w owe czasy postawić mogła sobie myśl ludzka. Obydwaj nauczali w Atenach, które od czasu Sokratesa stają się ogniskiem myśli starożytnej.

Jeśli prawdą jest to, na co się wszyscy zgadzają, szukać jej należy nie w pojedynczych, poszczególnych przedmiotach, lecz w tem, co mają wspólne. — Pojedyncze lipy rosnące przed moim gankiem różnią się wielkością, kształtem i ilością gałęzi, miejscem, w którym są posadzone, ale pojęcie ogólne: lipa ma w sobie tylko takie cechy, które są wspólne wszystkim w ogóle lipom. Dlatego prawdziwymi są, uczył Platon, tylko *ideje* przedmiotów. Te ideje są doskonałymi pierwowzorami wszystkich rzeczy, i znajdują się gdzieś po za widomym światem, w niebie, z kąd przybywa i dusza nasza, a zachowując pamięć tych wiecznie pięknych pierwowzorów, nie zadawalnia się widokiem rzeczywistego świata, który jest tylko złudzeniem, niedokładnym odbiciem prawdziwych idei. Idee są tem doskonałszymi im ogólniejsze, a najogólniejszą i najwyższą jest idea Dobrego czyli Cnoty.

Nikt przed Platónem a nikt tak pięknie po nim nie pojął i nie przedstawił, owej dążności człowieka ku nieskończonej doskonałości, którą nazywamy pragnieniem ideału. Cała sztuka: poezja, muzyka, malarstwo, rzeźba, budownictwo są żywym wyrazem tego pragnienia, w którym człowiek usiłuje wnieść się po nad rzeczywistość, a w religii podnosi się człowiek do najwyższego ideału doskonałości, do tej idei, którą Plato nazywał Dobrem albo Bogiem.

Uczeń jego *Arystoteles* (ur. 384, um. 322 przed Chr.) sprowadził wprawdzie filozofią z nieba na ziemię, ale za to nikt tak szczegółowo i wszechstronnie nie opracował pojedynczych części tej dotąd wszystko ogarniającej umiejętności. Jeden z uczniów Platona (*Xenokrates*) rozdzielił był już zgodnie z układem samego mistrza, filozofję na *dialektykę* (*), *fizykę* (naukę o przyrodzie, od *fizis* — przyroda) i *etykę* (naukę o enocie). *Arystoteles* pierwszy stworzył *logikę*, czyli naukę o sposobie myślenia, którą nazwał *organon*, t. j. narzędzie (do zdobywania prawdy); do fizyki dodał *historię naturalną zwierząt*, obejmującą opis budowy ich ciała i domysły o rozmaitych odbywających się w niem czynnościach. Liczne gatunki zwierząt opisane tu są szczegółowo i podzielone na klasy. Do etyki dodał

* Dialektyka znaczy właściwie sztuka mówienia; ponieważ zaś sztuka ta prowadzi do odkrycia prawdy, prawdą zaś są idee, więc w tej części mieści się nauka o ideach Platona.

politykę, czyli naukę o rządzie w państwach; *ekonomikę* — naukę o bogactwie ludów; *teorię poezji i retorykę* (naukę wymowy).

(Dokończenie nastąpi).

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

Nauka dzieci zaczyna się z konieczności przez nauczanie na pamięć, potrzeba przecież aby towarzyszyło temu pewne pojęcie przedmiotu nauczanego jako wiedzy, która ma oddziaływać na umysł i jest to obowiązkiem nauczającego, aby tak było. Nauczyciel każdy powinien pamiętać o tem i umieć badać nauczane przez odpowiednio stawiane mu pytania, na które odpowiedź wyjaśniła by mu jakim tu jest objęcie i pojęcie rzeczy, o którą chodzi. Sokrates zgłębiając znaczenie tego zadania w nauczaniu uważał jako obowiązek względem umysłu swego pytać nie tylko otaczających go ludzi, ale i siebie samego w sposób taki, aby odpowiedź na zagadnienie rozświecała mu drogę życia. Ludzie poświęcający się sprawom wychowania rozumieli to od dawna i francuzki myśliciel *Montain* wyraził przekonanie to swoje wybitnie. „Niech nauczyciel nie żąda od ucznia jedynie słów lekeji zadanej, ale zrozumienia treści rzeczy, którą przedstawia, a którą powinien mu ukazać tak pod rozmaitemi jej stronami, aby jak czynił to Platon, stała się zrozumiałą pod wszelkimi stronami swemi.”

Rousseau przykładał również wagę wielką do takiego stawiania uczącej się młodzieży przedmiotów nauki, aby to nie była jedynie lekeja wycieczona na pamięć, gdyż wtedy jest to balast tylko, obciążający umysł młody i trzeba przedewszystkiem wzbudzić w dziecku ciekawość wiedzy przez zwrócenie jego myśli na otaczające go przedmioty, a wtedy zapraśnie ono własnowolnie poznawać je i badać ponieważ. Kant uważał za rzecz bardzo ważną badanie pytań, stawianych przez dziecko, bo przez to wykazuje się na co i w jakim stopniu zwraca się uwaga jego umysłu, dowodząc rozbudzającego się już pragnienia wiedzy i zrozumienia tego, co je otacza.

Nauczający powinien również nie tylko badać ale i otwierać umysł młody przez zadawane pytania. Świat z całą jego wielkością, z tysiącem jego zagadnień przedstawia się oczom dziecka i jeżeli nie zajmie go tu nic, nie uderzy, będzie ono jak martwa glina, obojętna na wszystko co wręcz nie odnosi się do niego, a stan takiej obojętności to lenistwo ducha i aby wyprowadzić z niego dziecko, trzeba je zająć przez wykrzesanie w jego umyśle pragnień wiadomości tego, co ma przed oczyma, co styka się z niem nie tylko bezpośrednio.

Nie dość przecież wiedzieć, trzeba obok tego umieć sądzić, bo wiedza jest nam wtedy tylko w życiu naszym pomocną, gdy jesteśmy zdolni zdawać sobie sprawę z tego, co jest dobrem lub złem. Tysiące namiętności zciera się w koło nas burzliwie, tysiące potrzeb domaga się zadowolenia i umieć wejrzeć w głąb rzeczy jest to wytworzyć sobie niechwiejny grunt pod nogami i należy nam przedewszystkiem mieć przekonania ustalone, sąd o rzeczach wyrobiony na podstawie nie tego tylko, co nam życie dało osobiście. Nauka, która rozjaśnia horyzonty życia ludzkiego ma tutaj znaczenie tak wielkie, jak promień słońca wśród ciemności; rozumieli to odwiecznie ludzie umiejący myśleć i badać warunki życia naszego. Sokrates w dialogu zatytułowanym „*Menos*” wykazuje że przekonania, które nie posiadają podstaw dokładnej wiedzy życia, wymykają nam się wśród życia tego starę różnych i dla tego człowiek powinien być oświeconym naukowo, to jest mieć podstawę pojęć ustalonych, jakie daje za pośrednictwem nauki doświadczenie wieków przez czyny ludzkie i ich rezultaty. Wtedy myśl nasza umie głębiej zapuszczać się w tajniki życia — wtedy myśleć znaczy sądzić, rozróżniać złe od dobrego i zdanie greckiego mędrca niemylnem też zostanie przez wszystkie wieki istnienia ludzkości.

Myśleć jest to zgłębiać idee życia i badać naturę wpływów, które oddziaływają na nas, trzeba przecież na to aby światło, którego tu potrzeba koniecz-

nie, wyblysnęło z własnej głębi. Zrozumieć życie i człowieka, to poznać przeznaczenie swoje i wychowanie powinno przygotowywać już dziecko do takiego stanu umysłu. Przewodnicy młodzieży, rodzice, są do tego tak obowiązani, jak do zaspakajania ich głodu, nie zamykania ich w ciemnych lochach piwnicznych.

Wychowawcy, którzy umieją spełniać swej obowiązek, potrafią zawsze tego dokazać, aby z wiedzy naukowej wyblysnęło światło, które rozjaśnia drogi życia ludzkiego. Wiedzy tej jest to przeznaczeniem, inaczej było by to światło chowane pod korcem, nieużytecznie więc i daremnie obciążające człowieka trudem zdobywania go sobie. Ci, którzy przewodniczą naukowemu kształceniu się młodzieży, obowiązani są badać jak ta nauka sięga głęboko i jakie mogą być jej rezultaty dla życia. bo nie dość jest wiedzieć, trzeba jeszcze z wiedzy umieć korzystać. Egzamin prawdziwy wykształcenia umysłowego to nie ten jeszcze, który na zadane pytania odpowiedź dać sobie może; egzaminem rzeczywistym jest zbadanie tego, jak młodzież prawdy i pojęcia przez naukę jej podane w życiu spotrzebowywa i tylko ci młodzieży tej przewodnicy, którzy to czynić potrafią, dowiedzieć się o tem mogą, a dodać trzeba, że należy to do ich powinności.

M. I.

ZWIERCIADŁO.

Jaroslawa Vrehlickiego *).

Ta moja dusza jest jak zwierciadło,
Co z dawna wisi na ścianie,
Nie mało życia tam weń zapadło.
Co z tego jeszcze zostanie?
I całkiem jako w zwierciadle bywa—
Gdzie są tych wszystkich dni ślady?
Wszystko toń jakaś dziwna zakrywa,
Otchłań schłonęła zagłady.
Doprawdy, byłby dziwny karnawał,
Jeśli by po pewnym czasie
Świat się objawił, co niegdyś stawał
Tam w całym blasku i krasie.
Czegóż zwierciadło to nie widziało,
Przez lata wisząc na ścianie,
Za wiele wstydem by się oblało,
Więc lepiej, że to nie wstanie.
Lepiej, że wszystko chłonie zwierciadło,
Ze się w niepamięć to wali,
Że w toń nieznaną nawždy zapadło
I nie wypłynie z tej fali.
Baśń mówi, że gdy w płaszczyznę ciemną
W północ spoglądasz ciekawie,
Twarze, osoby mocą tajemną
Zjawia się w dawnej postawie.
Zalotnie mignie dziewica młoda,
Wachlarz, koronka powraca.
Wszystko w odbiciu szkło ci wnet poda,
I wnet się wnicość zatraci.
Tak w duszy wstają dawne postawy,
Gdy się ruch dzienny nie snuje,
Wstają niejasne, we mgłę bladawej,
A każda dziwnie dojmuje.
O lepiej, żeby spały w nicości,
Po co je wołać z ukrycia?
A jednak idą—znam, znam tych gości,
Świadki mojego to życia.

Jedna mi grozi i pięść zacina,
Ta znów z oczyma chłodnemi,
Ta błogosławić chce—lecz przeklina
Nasz cały żywot na ziemi.
O znam was, znam was. Smutnym wido
Dręczycie aż po skonięcie. [kiem
W tem zorza światło rzuci potokiem,
Zwierciadło puste na ścianie.

Przełożył z czeskiego
Bronisław Grabowski.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

IX.

Na wzgórzu prawie ciemnej krawędzi lasu dotykając, a po lewej stronie zostawiając rzekę i zabudowania fabryczne w Zambrówce dolnej, ciągnęła się długim szeregiem chat po obu stronach polskiej, szerokiej drogi zbudowana, Zambrówka Górna.

Tablica przydrożna wskazywała, jako domów trzydzieści dwa liczyła i do gminy Górki Rzeczne należała. Zdała już ukazywała się wieżyczka pałacu, strzelająca w górę po nad drzewami, które, w gęstą masę zwarte, okalały pałac stojący na boku i ode wsi, dużym angielskim parkiem oddzielony.

Tak zwany „okólnik,” murem z cegły obwiedziony, ze stodołami, lamusami, stajniami i oborami pośrodku, podsunął się pod sam las prawie i widać było, że niegdyś budynek miał piękne, murowane, które przecież niszczylić czas poszczerbił i nadwreżył mocno.

I nie tylko tutaj zniszczenie uderzało wzrok... Piętno to, dźwigał przedewszystkiem pałac, odrapany, z dachem podziurawionym i jedną tylko połową zamieszkaną, bo druga, była już zupełną ruiną.

Smutny to sprawiał widok. A choć bluszez i powój, a nawet wino dzikie, po macierzyńsku, jak schorzałe dziecię w uścisk zielony ruiny te oplotły, wrażenie pozostawało jednakie i piersi do westchnienia pobudzało.

O ile pałac grzeszył zaniedbaniami i ubóstwem, o tyle wieś sama, dostatnio i świeżo wyglądała. Dużo chat było nowych, ogrody warzywne i owocowe sady, rozciągały się szeroko, w sadzawkach trzepotały się stada gęsi i kaczek, wspaniałe indy przeczadzały się po równej, ubitej drodze, która przez wieś wiodła. Chcąc się atoli ostatecznie o zamieszkałości Zambrówki przekonać, doś było stanąć na skrajcu, koło figury Ś-go Jana i patrzeć, jak z łąk i pól, powracały stada bydła, owiec i koni.

Ile tam było gwaru, nawoływań, śmiechu! Jakie olbrzymie słupy kurzu wzbijały się pod obłoki, nim ta ruchliwa fala, gościniec przebiegła. Za nią dopiero, powoli, zbliżało się dworskie bydło; skromna stadnina i garstka owiec. Krowy, pospuszczały lby melancholijnie, owce, jakby się dziwiąc swoim chudym kształtom beczwały żałośnie, żreбки młode, szły spokojnie, nie skore do figlów i szybkiego biegu, do którego ich pastuch przynaglał.

I tak różnica pomiędzy wsią a pałacem, uwydatniała się na każdym kroku.

Była to jedna z wieczornych godzin właśnie.

Słońce na purpurze i złocie układało się do snu, coraz niżej i niżej zsuwając płomienną tarczę, bogate barwy bladły zwolna i rozpląwały się w czystym błękitcie.

Boczną drożyną, przez pola, biegła mała, żółta bryczulka w jednego konia zaprzężona. Kierowała nim wprawna dłoń, młoda jeszcze kobieta, w po-

pielatym kamlotowym płaszczyku i słomkowym kapeluszu, z pod którego patrzyły bystro, ciemne, smutne oczy i wymykały się kasztanowate, o złotym połysku włosy.

Twarz na pierwszy rzut oka, nie uderzała pięknnością, ani urokiem świeżości młodzieńczej, miała jednakże słodczy jakąś pogodną, pomimo dumy, jaśniejącej w spojrzeniu. W koło ust blade zabarwionych, widniały drobne zmarszczki, cierpieniem wyrzeźbione, na czole leżała powaga i myśl głębsza. Bryczulka skakała po zagonach, przechylała się na bok, kobieta siedziała spokojnie, wyprostowana, z wzrokiem przed siebie utkwionym.

Oczy jej, utonęły z dziwną siłą, w ślicznym świetlanym obrazku, jaki po wyjeździe z lasu, ukazał się przed nią

Po chwili, leż parę stoczyło się po twarzy bladej, zniekanej.

Ona miała w duszy bezmiar bólu i goryczy, a w okół cisza taka i wesele!

Droga zbiegała ku wiosce łagodnym spadkiem, w wieńcu lip starych i topoli, mignęła wieżyczka pałacu.

Z piersi kobiety wybiegło westchnienie, do stłumionego jęku podobne.

Zatrzymała konia, szarpnąwszy lejce tak mocno, że kasztanek zdziwiony, parsknął pianą i stanął dęba.

Czoło kobiety sfałdowało się w grube zmarszczki, a czem dłużej patrzyła tem energiczniej stawały się rysy i usta zacinały się ostro.

Do Zambrówki przywiązała się nieszczęśliwa po Orzelińskim wdowa, jak rozbitek do deski zgruchotanego okrętu.

Cóż bo jej zostało prócz kąta, w napół spruchniałym pałacu i tego szmata ziemi, na której tyle już jej pracy, i leż spoczęło.

Od tragicznej śmierci męża, ogrom kłopotów zwał się na jej głowę. Wprost nie wiedziała, jak sobie radzić, nie mając wyobrażenia o interesach, o chaosie jaki w gospodarstwie panował.

Bywały chwile, kiedy załamywała ręce bezsilna, złością i niegodziwością ludzką oburzona i z trwogą w duszy, zadawała sobie pytanie: czyli podolała tej walce?

Widok puciołowatych, różowych twarzątek dzieci, wesoły ich uśmiech i figle, budziły w niej energię, podwajały siły.

Trzebaż im było przyszłość jakąś zapewnić, z gruzów odbudować cokolwiek chociaż na dalszą drogę życia. Trudno to było! Gdyby znalazła jakąś pomocną rękę, gdyby ją kto wsparł radą, otuchy dodał... Ale od śmierci męża, ludzie usunęli się szybko, lękając się, by od nich współczucia lub pomocy nie żądała. Rzeecz prosta, że nieświadomą interesów, oszukiwano, że od ekonomy poczynawszy, na chłopcę stajennym kończąc, wszyscy krzywdę jej wyrządzali. Nie umiała znaleźć na to rady. Na każdym kroku, spotykała się z trudnościami, które, chcieć rozwiązać, przechodziło słabe jej o rzeczach tych pojęcie.

Wacław Orzeliński, przeciętny osobnik teraźniejszego gorączkowego stulecia, natura energiczna na pozór, poceziwa na wskrós, z pewnymi nawet szlachetnymi pojęciami, trochę romantyk, trochę idealista, popełnił jeden wielki błąd, który, w znacznej części, do nieszczęśliwych potem następstw się przyczynił. Oto, zaważenie się ożenił. Związany obowiązkami, których doniosłego znaczenia nie pojmował, zrywał je potem łatwo, ciągnąc za sobą szereg cały nieszczęść i wypędzając spokój, z cichego domowego ogniska, którego strzegła delikatnych uczuć kobieta, niezrozumiana przez niego i najczęściej oszukiwana.

Nieprawdopodobnem się to na pozór wydawać mogło, bo kto znał p. Irenę, cenił w niej rozsądek, łagodność i tklivość, a zachwycał się urodą. Wydana młodo za męża, przywiązała się gorąco do męża, do dzieci, uległa była i w żądaniach skromną a na wybrki męża, z pobłażaniem patrzyła.

Orzeliński kochał ją, po swojemu. Miłość dla żony, nie zasłaniała mu innych uciech życia. Czuli, troskliwy o ile był w domu, skruszony, gdy po kilku-tygodniowej nieraz nieobecności doń powracał, miał w charakterze i w obejściu wdzięk jakiś zniewalający, któremu poddawali się wszyscy, prawie bezwiednie.

*) Ze zbioru „Okna w burzy.”

Oczywiście żona, najpierwsza. Wszystko w nią wzmówił, wszystkiemu wierzyła.

— Ireniu, serce najmilsze! — mawiał zwykle w chwilach skruchy — ty ani wiesz, jak ja cię kocham! Sam się nieraz temu dziwię, bo choć mi w oko piękność wpadnie i chciałbym się pobawić, wyobraź sobie, sentyment ów, 24 godzin nawet nie wytrzyma. Przy tobie wszystkie błędna.

P. Irena śmiała się, śmiechem tym maskowała czasem łzy i wzruszenie, on ją pieścił, opowiadał w humorystyczny, jemu tylko właściwy sposób, wrażenia z zabaw, jarmarków, polowań, żartował sam z lekkomyślności własnej, a kończył zawsze obietnicą, że się poprawi i pochwałami dla żony, która, takiego jak on nieponia, zawsze jednako kocha i przebacza. Z jednym się tylko nie zdradził nigdy przed nią i lat kilka upłynęło, nim się o groźbie zawieszono nad głowami dzieci, dowiedziała.

Orzeliński, od dziecka prawie, żyłkę do kart miał nieposkromioną. Gdy ze szkół na święta lub wakacje przyjeżdżał do domu i sąsiadów przy zielonym stoliku zoczył, niezem go już od grających, oderwać nie można było. Z latami namiętność owa, oczywiście rosła, aż pochłonęła wszystkie lepsze cząsteczki słabego ducha i nieszczęśliwy, został szulerem w całym, tego okropnego słowa znaczeniu.

Rzecz prosta, że namiętnością ową oplątany, zubożętniał dla wszystkiego; gospodarstwo zdał na łaskę rządcy i ekonomów, interesa zaniedbał i w domu gościem był prawie. Rezultat był z tego taki, że folwark po folwarku od całości odpadał, że wreszcie i Zambrówkę, na dwie części podzielono i z owej prawdziwie pańskiej fortuny, zostało 30 włók, obdłużonych i zaniedbanych co się zowie.

Gdy p. Irena tajemnicę wycieczek męża odkryła, ratunek już był spóźniony. Ani perswazyje, ani błagania o litość nad sobą, nad dziećmi, nie pomogły. Bywały wprawdzie chwile, kiedy Wacław wyciągał ręce do żony i wołał z głębi serca „ratuj” ale to krótko trwało i — kończyło się zwycięstwem namiętności owej, która go w otchłań zgubną ostatecznie pociągnęła.

Orzelińscy dzieci mieli czworo. Najstarszy Oleś, rok trzynasty liczył, gdy ojciec, przegrawszy pożyczone na wysoki procent pieniądze, zastrzelił się...

Na kogo więc rachować i co począć miała, pozostała wdowa, otrzymawszy w spuściźnie po mężu, długi jeno i splamione nazwisko?

Zambrówka Górna, jakkolwiek 30 włók obszaru liczyła, dyszała ledwo, hypotecznymi długami obciążona, a przy rozprzeżeniu ogólnem, jakie się latami niedozoru wkradło, przedstawiała chaos, nieopisany i kobiecej dłoni trudno by już było go opłacać.

Orzelińska, rwała się wprawdzie do pracy, przeglądała gospodarskie książki, pilnowała rejestrów, robotników, ale to wszystko istotnych korzyści nie przynosiło: dobre chęci, praktyczności nie zastąpią. O jakże gorzko żałowała nieraz, że matka strzegła ją od zetknięcia się z wszelkimi gałęziami zajęć. Cóż jej z tego przyszło, że w młodych latach czasu tyle przy fortepianie spędziła, polki i walec salonowe wygrywając, lub z zupełnym poświęceniem się dla tak ważnej kwestyi, wysnuwała pajęczę cuda friwolitowe, w postaci koronek, gi-piur, kołnierzy...

Pojęcia nawet nie miała o tem, co się w spiżarni, ogrodzie lub kuchni, działo, jak nie łączyła ją nigdy, żadna sympatyczna nitka z choremi lub ubogimi w wsi i obcemi jej były wszelkie sprawy społeczne, które się po za pięknymi salonami i wychuchanym jak cacko jej buduarciem rozgrywały.

Zastanawiając się teraz nad swoją niedolą, przechodziła do wniosku, że i ona do ogólnego bankructwa dołożyła cegiełkę, bo nie umiała trafić widocznie do duszy męża, powstrzymać go na ślizgiej drodze, rozwijającej się coraz szerzej namiętności, ani wejrzeć w interesy i gospodarstwo. Któż jak nie ona, powinna była ratować zagrożony spokój i byt rodziny?

W obec spotykanych niemal codziennie faktów, jakże niebezpieczną doktryną wydało jej się, Hartmanowskie dowodzenie, jakoby kobieta od wszelkiego zetknięcia się z surową walką życia, strzeżoną być winna i jakie zgubne owoce wydać może:

zbytnią słodycz niewieścia, zbytnią uległość i ślepe zaufanie.

Spokojna wieczorna godzina, pobudziła i teraz w pamięci Orzelińskiej wspomnienia i żale.

Ileż goryczy, ile bólu mieściło się w tych rozpamiętywaniach, jakiej mocy nad sobą potrzeba było aby się moralnemu i fizycznemu upadkowi sił nie poddać!

— Ach gdyby to można cofnąć przeszłość! — wybuchnęła wyciągając dłonie w przestrzeń, ku niewidzialnemu duchowi męża, mimo krzywdę jaką jej wyrządził, z niewygasłym wspomnianego uczuciem,

Słońce skryło się już za lasem, zmrok wieczorny kładł się na polach i gwar czynnego życia ucichał zwolna, gdy kasztanek przemknął przez wieś, ominął główną bramę wjazdową i boczną, akacyami wysadzaną drożyną, pogalopował ku stajni.

Orzelińska wysiadła i obejrzała się.

Nie było nikogo ktoby konia z uprząży oswobodził; pod parkanem jeno przesuwawa się ukradkiem zgarbiona postać, z workiem na plecach. Gdy Orzelińska postąpiła ku niej, wnet pomknęła szybko i skryła się między budynkami.

— Nowe jakieś oszustwo! — pomyślała wdychając i weszła do stajni.

Od śmierci męża, nauczona doświadczeniem aby nie dowierzać nikomu, zbliżyła się do żłobu i przegarnęła ręką jego zawartość. Owies był wybrany, została tylko siczka. Ot, rozwiązana zagadka, czemu konie były chude i do pracy na roli prawie nie zdadne. Tak tu, jak i na każdym kroku, spełniano nadużycia.

Rozgniewana, oburzona, poszła dalej w podwórze, z kąd dochodził ją głos rządcy i gwar.

Przed śpichrzem stały dwie furmanki naładowane workami. Snadź nikt się tu przybycia pani nie spodziewał, bo na widok jej, zgromadzeni przed śpichrzem ludzie, zbiegli się, niby czemś bardzo zajęci, a rudowłosy żyd, wpadł do środka, rzucając między tamże będących, jedno tylko słowo, które przeciw piorunujące sprawiło wrażenie.

Nim się opamiętać zdołali, Orzelińska stała już przed rządcą z błyskawicą gniewu w oczach.

— Co pan wydajesz? — spytała.

Rządca wnet głos odzyskał. Podniósłszy hardo głowę odrzekł:

— Zboże!

— Z czyjego upoważnienia?

Zająknął się.

— Herszek potrzebował pilno... P. dziedziczki nie było... Nie mogłem czekać.

— Powinieneś pan być czekać! — rzekła z przyciskiem, a zaraz potem dodała: — Odtąd klucze od stodoły i śpichrza będą u mnie. Nie mamy wiele zboża, a pozbywając się go teraz, sami potem dla siebie kupować za podwójną cenę będziemy. Kiepski z pana rachmistrz i zarządzający, panie Szerszyński!

Rządca kipiwał ze złości. Brwi mu się zjeżyły, oczy ciskały iskry, ledwo hamowanego gniewu.

— W takim razie, rządca pani dziedziczce nie potrzebny! — ozwał się ostro.

— Potrzebny! — odparła. — Ale uczeiwy!...

Rozkazała ludziom zabrać z wozów worki i wyszła.

— Co to jest? — pytał zdumiony Herszek. — Jak to może być? Ja zboże kupiłem... P. rządco! pan na to nie mówi nic? Co to jest? Czy ona myśli, ta dziedziczka, że pan u niej lokajem jest?

Rządca kładł na czem świat stoi.

— Ja ją nauczę, ja jej zapłacę! — odgrażał się przez zaciśnięte zęby,

— Niech pan rządca kluczy nie oddaje... doradził karbowy, — Trzeba babę rozumu nauczyć!

— A trzeba! — dorzucili inni.

Zbito się w gromadkę, szeptano, radzono!

Orzelińska tymczasem, poszła ku domowi, z głową spuszczoną, z rumieńcami oburzenia na policzkach.

— Com ja im zawiniła? — szeptowała do siebie rozgoryczona — i czyliż zawsze tylko kłamstwo i niegodziwość ludzką spotykać będę?

Dziwiła się, bo kochała ludzi i odkąd zamieszkała w Zambrówce, miała to wewnętrzne pragnienie czynienia im dobrze o ile i w czem mogła. Znadto nawet pobłażliwą była i szczerą.

Szebiot dziecięcych głosików zbudził ją z zadumy. Zdała postrzegłszy matkę, biegły ku niej widocznie czemś przestraszone, przejęte.

— Mamó, mamó! — wołała bez tehu prawie jedenaścieletnia Zosia. — Oleś zachorował, Oleś spadł z konia!

Orzelińska stanęła jak wryta.

— Gdzie? Co? Co się stało? — pytała zbladłymi usty.

Po chwili dopiero opanowała wzruszenie. Nie wolno jej było roztkliwiać się, gdy siła tak jej była potrzebna. Ujawszy rękę najmłodszego dziecięcia, podążyła szybko ku domowi, zbrojąc się w odwagę, przeciw nowej trosce.

Oleś istotnie przykremu uległ wypadkowi. Odważny nieledwie do zuchwalstwa chłopiec, w nieobecności matki, próbując najzłośliwszego z całej stajni konia, spadł i zemdłonego przyniesiono do domu.

W parę godzin potem przybył wezwany Dembiński.

— Niech się pani uspokoi — rzekł po zbadaniu chorego. — Na szczęście kość żadna nie jest nadwreżona i niebezpieczeństwa wielkiego nie ma. Wprawdzie zapalenie mózgu jest możliwe, ale chorobę tę, w wieku Olesia zwłaszcza, wiele dzieci przebywa szczęśliwie. Zastrzegam tylko, spokój bezwzględny. Najlżejsze wstrząśnienie, przestrasz, wywołać może bardzo niebezpieczne komplikacje.

Orzelińska była blada, lecz na pozór spokojna. Nie płakała, nie żałowała rąk, nie męczyła lekarza pytaniami; słuchała jeno wskazówek jego, ze skupioną uwagą.

— Będę czuwać sama przy dziecku — ozwała się wreszcie głosem tak zmienionym, że Dembiński z głębokim współczuciem spojrział na nią.

Noc zapadła ciemna, ponura. Wiecher potrzasał konarami drzew, na niebie ani jedna nie pojawiła się gwiazda, obłoki jakby deszczem wezbrane, opuszczały się nisko.

Orzelińska, zleciwszy stróżowi nocnemu bacność podwójną, upomniawszy rządcę i służbę całą, o potrzebnym dla chorego chłopca spokoju, przy łóżku Olesia zasiadła.

Pokój był prawie ciemny; słabe tylko światło nocnej lampki, oświecało jej twarz bladą. Wpatrzone w rzucającego się nieprzytomnie syna, drażniły ją oddalone odgłosy szczekania psów i szelest choćby najmniejszy. I tak północ nadeszła.

Oleś uspokoił się. Snadź pod wpływem lodu, który mu matka na rozpalone czoło kładła, gorączkowe widziadła bładły, jak zbladły rozplomienione dotąd policzki chłopczyzny.

Uspokoił się i zasnął. Matka nieledwie dech zapierała w piersi, by niezem tego dobroczynnego snu nie spłoszyć.

Znużona wreszcie całodziennym trudem koło gospodarstwa, osłabiona wrażeniami, pochyliła senną głowę na piersi i zadrzemała.

W tem, za oknem, ozwały się kroki i głosy ludzkie, hałas, gwar i nim zdążyła powstać, silna dłoń zatrząsała ramą okna i uderzyła weń kilkakrotnie z takim łoskotem, że w sąsiednim pokoju śpiące dzieci, zerwały się z krzykiem, a nim osłupiała matka zdołała temu przeszkodzić, Oleś wyskoczył z łóżka, przerażony, z oczyma rozszerzonymi trwoga i rzucił się ku drzwiom.

— Puść, puść! — krzyczał bezprzytomny. — Ja się boję, ja muszę uciec, skryć się... Odejdź, odejdź ode mnie!

I wyrwał się matce, nie poznając jej, szarpał się wypręzał... Chrapliwy oddech począł mu się dobywać z gardła, wszelka myśl jaśniejsza uciekła.

Z pomocą nadbiegłej Zosi, udało się wreszcie matce, położyć go do łóżka, a tymczasem i zwabiona krzykiem pokojówka nadeszła.

Za oknem wciąż hałasowano; tylko teraz wyraźniej już odróżnić można było głos rządcy. Oleś przerażony słuchając go, rzucał się jak w konwulsjach.

— Proszę pani dziedziczki o klucze — wołał. — Czas okólnik otwierać... Ludzie do roboty idą...

Orzelińska do ogrodu wypadła jak szalona. Ogarnął ją szal, wściekłość i taka ciężka, ciężka bezsilna rozpacz!

I co ona mu powie, temu nikczemnikowi, jak ukarze zbrodniarza, który nad jej chorem dzieckiem litości nie miał i taką niecną przygotował zemstę. Boć ona już teraz rozumiała, wiedziała dlaczego to uczynił. Odebrane wczoraj od stodoł i śpichlerzy klucze, kto wie, czy nie staną się przyczyną śmierci jej dziecka! A ona taka opuszczona, sama jedyna, bez opieki!

Z rozdartem sercem, rozszalałym umysłem i wrazem nieugiętej mściwości w oczach, stanęła przed rzadcą. Nie była to już łagodna, przebacząca kobieta, lecz orlica piskląt swoich broniąca i chciwa zemsty, za doznaną krzywdę. Delikatna jej dłoń, schwyła ramię nędznego służalca, wpijając wzrok, w twarz jego, z trwogi nieco pobladała.

— Nędzniku! — szeptała, bo wzruszenie głos jej tamowało. — Com ci uczyniła, że przyszedłeś tu zabierać mi skarb najdroższy, jak złodziej, jak zbrodniarz na życie ludzkie czyhający! Co ci dziecko moje uczyniło? Powiedz, powiedz, że ja cię skrzywdziłam kiedykolwiek, czy mąż mój, czy dziecko, wyrządziło ci zło jakie, czy nie miałeś tu spokojnego kąta, spokojnego kawałka chleba, pocziwego słowa i oparcia? Mów, odezwij się! powiedz cokolwiek na swoją obronę, abym nie przeklinała ciebie i dzieci twoich!

Szerszyński przeląkł się...

— Niech mnie pani posłuchaj... — bełkotał. — Po klucze przyszedłem.

— O północy? — spytała z wybuchem bezmiernej goryczy. — Pod okno mojego chorego dziecka? I potrzebowałeś wtedy właśnie, kiedym cię o spokój dla niego prosiła, pięścią dopominać się o nie? O podli, podli wy ty wszyscy jesteście! Daro wam serce i kieszeń nieść w ofierze, daro krzywdy wyrządzone przebaczać!

Złamał się jej głos łkaniem, wraz ze łzami, które obficie popłynęły z oczu, topniał gniew i tylko żal, żal, żal bezmierna ogarniała ją poczęła i nad sobą i nad tym obłąkanym chciwością i złością człowiekiem i nad tymi, którzy mu służyli i pomagali do ucisku wdowy, zagrabiając jej mienie, krzywdząc słowem niepocziwem i obejściem.

Oleś tymczasem wpadł w gorączkę. Doznany przestraszczył chorobę mózgu, której się Dembiński lękał. Ledwo dzień zaczęło, posłano konie do Zambrówki i przybyły lekarz, w stanie chorego, poważne znalazł niebezpieczeństwo.

Orzelińska, w krótkich słowach opowiedziała o nocnym najściu, Dembiński słuchał przygnębiony, poruszony do żywego.

— Nikczemność! — szeptał przez zaciśnięte zęby. — Zło głębiej tu jest wrosłe, niżelim przypuszczał. Jak pani może żyć w takich nieprzyjaznych warunkach? Powinnaś pani natychmiast wydaląć rzadcę.

Spuściła oczy. Na twarzy jej bardzo bladej i zmęczonej, widniała rezygnacja i smutek cichy.

— To już Oleś postanowi — szepnęła. — Jeśli mi go Bóg zostawi...

— Przebaczysz pani? — przerwał żywo lekarz.

Zawahała się...

— Szerszyński ma rodzinę liczną... — rzekła nie podnosząc oczu. — Oddalając go, muszę mудаć świadectwo... Nie mogłabym napisać powodu wydalenia, jak nie napisałabym kłamstwa...

Dembiński, z uczuciem rękę jej poniósł do ust.

— Czemuż nie mogę w niczem pani dopomóc! — szepnął z żalem. A po chwili spytał: — Czy nie byłoby dogodnym dla pani sprzedać Zambrówkę? W obec najnieprzyjajniejszych warunków, trudno pani będzie gospodarować... Ale też wyjątkowo lud jest tutaj zuchwały i niepocziwy! — dodał, wstrząsając się jeszcze na wspomnienie tego co mu opowiadała.

— Sprzedać Zambrówkę? Co pan mówi, doktorze? — W głosie Orzelińskiej drgało przerażenie. — A dzieci? a pamiątki? Po nieszczęściu mojem, do Zambrówki duszą całą przyrosłam...

— Wierzę pani! — odparł z współczuciem Dembiński. — Jeżeli jednak powtarzać się będą sceny dzisiejszej podobne... interesy się nie poprawią... Znam amatora, któremu Zambrówka w oko wpadła i radziłbym pani, zastanowić się nad tem!

— Nie, nie! Za nie! Nie mogłabym, nie potrafiłabym żyć gdzieindziej! — broniła się biedna kobieta prawie ze łzami. — Nazajutrz po ślubie, Wa-

claw przywiózł mnie tutaj i dotąd nie opuszczałam Zambrówki. Zresztą dla Olesia...

Nie śmiała dokończyć. Wzruszenie jej było tak silne, że zapanować nad niem nie mogła.

Dembiński ją zrozumiał.

— Miejmy nadzieję w Bogu i pocieszajmy się zdrowym organizmem chłopca — rzekł. — Siły żywotne umiejętnem wychowaniem rozwinięte, krew dobra...

I nie omylił się pocziwy lekarz. Po dwu tygodniach obaw, najstaranniejszej opieki i prawie rozpaczliwych wysiłków, choroba ustąpiła. Oleś bladej i osłabiony, patrzył jednak przytomnie na matkę, uśmiechał się do siostr, raz nawet wychudłą rękę ku Szerszyńskiemu wyciągnął, ale Orzelińska spojrziała takim wzrokiem na rzadcę, iż tenże swojej podać się nie ośmielił.

Na służbie pozostał. Nie zmieniło się atoli w niczem niechętnie jego względem pani usposobienie i broił w dalszym ciągu, może więcej nawet niż przedtem, skoro poznał, że dziećmi swemi, jak parawanem, zastawić się może.

Projekt sprzedania Zambrówki, czy w jakikolwiekby inny sposób ulżenia kłopotów wdowie, nie przestawał zajmować Dembińskiego. Co zrobić, jak zrobić, nie wiedział; ale to, że coś zrobić trzeba, nurtowało go.

Prezes dowiedziawszy się o wypadku i chorobie Olesia, wnet z sąsiedzką kondolencją pośpieszył.

— Ofiaruję się cały na usługi szanownej sąsiadki — mówił miłodowym głosem ściskając życzliwie dłoń Orzelińskiej. Wiem o wszystkim od doktora i jako najbliższy sąsiad mam niejako obowiązek...

Prawił grzeczności, bystrem okiem przecież obejmując wszystko i obliczając w myśli korzyści, jakie mu nabycie Zambrówki obiecywało.

Orzelińska dziękowała, przyglądała się ciekawie słodziutkiemu prezesowi, wcale nie pojmując, czemu tę wyjątkową sąsiedzką uprzejmość ma przypisać.

Prezes o sprzedaży zagał. Zrazu mówić prawie o tem nie chciała, powoli jednak aksamitnie jego słowa, zaczęły przemawiać do niej coraz wyraźniej, plany, jakie zreszczie rozwijał, wydały się dość jasne i korzystne! O! prezes miał dar wymowy niepospolity, a Orzelińska na interesach, nie wiele się jeszcze znała.

W każdym razie, kość była rzuczona, i gdy prezes zapowiedziawszy wizytę żony i córek w Zambrówce, z powrotem do domu wyruszył, uśmiechał się zadowolaniem i rozglądał po łąkach i polach, jak gdyby jego już były własnością.

A biedna Orzelińska, od czasu tej wizyty, spać nie mogła. Przywiązanie do Zambrówki, walczyło z projektami prezesa; widziała, że tak jak jest, nie tylko wielkich rzeczy spodziewać się z gospodarstwa nie może, ale jeszcze gnęb ją ciężary, brak znajomości fachowej przedmiotu, jednym słowem, coraz trudniejsze, coraz opłakańsze warunki. Ostatni wypadek z rzadcą, dalej szereg popełnianych na każdym kroku ze strony wsi i służby nadużyć, przekonywały ją, jak niesłychanie trudno gospodarować kobiecie, męskiego ramienia pozbawionej. W ucziowości Krasnohorskiego, uwierzyła święcie. On, pierwszy z sąsiadów okazał zainteresowanie się jej dołą, radził życzliwie, na interesach znał się doskonale. Poznała to odrazu.

— Dzięki Bogu! Znalazłam przecie człowieka pocziwego, któremu zaufać mogę! — opowiadała Dembińskiemu, ufna i szczęśliwa.

I doktor się cieszył. Ktoś przecież zając się tą nieszczęśliwą wdową musiał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Koncert p. Wiktora Grąbczewskiego w d. 19 stycznia ścignął do sali resursy obywatelskiej liczny zastęp zwolenników talentu tego sympatycznego śpiewaka. Po metamorfozie z barytona na

tenor, p. Grąbczewski powrócił znowu do pierwotnego brzmienia głosu, co widocznie wyborno przyniosło rezultat, gdyż młody artysta wykazał całą barwę materyału wokalnego, wyrobionego wszechstronnie. P. Grąbczewski posiada duży smak artystyczny, frazuje bardzo pięknie i umie wydobywać wysoce estetyczne efekty śpiewacze.

Z pośród wykonanych utworów, najbardziej się podobała aria z „Balu maskowego“ Verdi'ego (*Eri tu*) oraz romans z opery „Król Lahory“ Masseneta, wreszcie „Brindisi“ z „Hamleta“ Thomas'a. Rzeczy te drgały w interpretacji p. Grąbczewskiego rzeczywistą siłą i uczuciem, które przemawiało serdecznie do słuchaczy, darzących koncertanta huczniemi oklaskami.

Cały ten koncert był pod każdym względem zajmujący. P. Szezygierówna, którą niezawodnie usłyszymy na scenie teatru Wielkiego, gdzie przed paru laty laury zasłużone zbierała, prześlicznie odtworzyła szereg pieśni i duetów Leoncavalla z „Pajaców“ i z „Don Juana“ Mozarta.

Uświetnił koncert powyższy prof. Michałowski przepysznym odegraniem: „Impromptu“ (Fis-major), „Scherzo“ (H-minor) i „Etudy“ (Es-major) Chopina.

W szeregu produkcji muzycznych ubiegłego pół miesiąca mamy do zanotowania popis pedagogiczny, który się odbył w pięknych salonach składu fortepianów pp. Gebethnera i Wolffa. Był to popis uczniów i uczennic p. Włodzimierza Oberfelta, zdolnego nauczyciela gry na fortepianie, mającego szczęśliwą rękę w prowadzeniu „cudownych dzieci“.

Młodziutka Felcia Rajffmanówna, znana już z występów na estradzie towarzystwa muzycznego, wykonała kilka utworów różnych kompozytorów z powodzeniem najzupełniejszym. Wkrótce mamy tę niewątpliwie bardzo utalentowaną dziewczynkę usłyszeć na jej własnym koncercie, po którym szerzej będziemy mogli się rozpisać. Grał jeszcze na popisie Henio Dziegielewski, który fantazyę D-minor Mozarta oraz utwory Griega i Loeschhorna odegrał nadzwyczaj zajmująco, uczy się zaś dopiero od roku.

Lekka muzyka święci na scenie teatru Małego niezwykle powodzenie; operetka Gastona Serpette'a p. t. „Posag Brygidy“, jestto rzecz istotnie napisana z prawdziwym talentem. Rolę Brygidy śpiewa z sukcesem znakomitym p. Czosnowska. Operetkę cechują melodyjność i zreżna faktura.

Na jednym z wieczorów towarzystwa muzycznego chór mieszany wykonał śliczną kompozycję Moniuszki do „Witoloraudy“ J. I. Kraszewskiego. Kompozytorka ta w opracowaniu chóralnym Noskowskiego przedstawia się malowniczo i zawiera znamiona szeregogo natchnienia. Publiczność przyjęła „Witoloraudę“ z wyróżnieniem, na co zasługuje zarówno pod względem wewnętrznej wartości, jak i wykonania.

Kiedy mowa o towarzystwie muzycznym nie można pominąć milezieniem młodzieńczego chóru, jaki się w sympatycznej instytucji zorganizował. „Lira“ posiada wyborne głosy, któremi świetnie kieruje dyrektor Noskowski. Produkuje „Liry“ w wysokim stopniu zainteresowały słuchaczy. Czuć w tej interpretacji jakiś wyjątkowy zapal, świeżość i poezyę. Zdobyte dotąd rezultaty każą się spodziewać świetnego w przyszłości rozwoju „Liry“, czego jej wszyscy życzymy.

Wszystkie utwory, wykonane przez „Lirę“ dźwięczały nader pięknie: „Noc marcową“ Kratzera zawierała szczegóły bardzo ładne; w pieśni ludowej „Hej mazury!“ Moniuszki (układ Noskowskiego) była zamaszystość i temperament ognisty. Oprócz tego kwartet Lirników wykonał: „Serenadę“ Abta i „Pieśń wieczorną“ Noskowskiego, któremu w pierwszym rzędzie „Lira“ zawdzięcza swoje powodzenie.

Nie szczęści się włochom w naszej operze. Obiecywano sobie złote góry po barytonie, p. Devoyodzie. Reklamowany przybył nareszcie do Warszawy i nie sprawdził tych wysokich mniemań, jakie o nim krążyły w świecie zakulisowym. Ma p. Devoyod potężny głos o olbrzymiej skali, lecz jest to już materyał wokalny zębem czasu trącony i pozbawiony miękkości odcieni. Najlepiej zaprezentował się artysta w odpowiednich partjach, jakie dostarczają barytonowi opery: „Aida“ i „Afykanka“.

Za to p. Stromfeld-Klamrzyńska zyskała uznanie ogólne. Koloratura artystki brzmi dzisiaj nieposzła-

kowanie, jak przed kilku laty; głos wszakże, jakkolwiek stracił nieco kolorytu delikatnego, nabrął jednoznacznie precyzyjny w szerszych frazesach. Uta- lentowana artystka śpiewała „Lucyę“ bardzo ładnie; nadto słyszeliśmy p. Klamrzyńską w roli Gildy w „Rigolecie“ i Rozyny w „Cyruliku“; obie partye celowały szlachetnością wykonania i rzeczywistym talentem.

W bieżącym tygodniu rozpoczęła gościnne występy p. Mira Hellerówna. Powitano znakomitą artystkę owacyjnie gorącymi obsypując oklaskami. Ocenę tego ujmującego śpiewu zamieścimy w przyszłym naszym sprawozdaniu.

Bardzo sympatyczne wrażenie wywarł występ p. Jadwigi Dylewskiej w „Strasnym Dworze“ Moniuszki. Jest to artystka, obdarzona przepięknym głosem mezo-sopranowym z odcieniem altowym. Małe pole do popisu miała p. D. w partyi Jadwigi, zdołała jednakże korzystnie usposobić publiczność i krytykę. Drugi występ artystki w wielkiej roli Fides w „Proroku“ odsłoni niewątpliwie całe bogactwo tego prawdziwego talentu.

Biesiadę artystyczną dał nam p. Józef Śliwiński, który wystąpił z wielkim koncertem d. 31 z. m. w teatrze. Sala zapełniła się wytworną publicznością, która niechętnie uczęszcza na koncerty gdzie indziej urządzone niż w teatrze Wielkim. Łoże, krzesła i galerye tym razem tworzyły komplet słuchaczy zwarty i tłumny.

Program koncertu, ułożony został w ten sposób, aby w nim uwydatnił się najlepiej talent koncertanta. Talent ten odznacza się przedewszystkiem niepospolitą siłą w wykonywaniu utworów romantycznej szkoły. W interpretacji artysty czuć zapal i brawurę częstokroć porywającą.

Z niemałym zasobem poezyi odegrał p. Śliwiński śliczne „Impromptu“ (B-major) Schuberta, otwierając niem szereg wyborczych produkeji.

Dużo życia wlał artysta w uroczy koncert (A-minor) Schumanna. Ballada (F-minor) Chopina brzmiała w tem wykonaniu wszystkimi czarami wdzięku i natchnienia; Transkrypcya Liszta ze „Snu nocy letniej“ Mendelssohna zawierała nieporównanie piętno rzeczywistego artyzmu, który roztacza się również w oryginalnym utworze Liszta, p. t. „U źródła“; przepysznie wypadła „Pieszczotka“, „Życzenie“ i walc (As-major) Chopina. Dalej szły dzieła Wagnera, Henselta, Schumanna — wreszcie rozentuzjazmował słuchaczy koncert (G-minor) Saint-Saënsa.

Subtelna, mistrzowska to gra! Ma ona potęgę i polot, siłę i uczucie. Zapewne, nie jest to talent genialny, któryby mógł interpretować wszystkie arcydzieła fortepianowe, ale bądź co bądź jest to gra doskonała w zakresie właściwym i wywierająca bardzo silne wrażenie.

W koncercie p. Śliwińskiego wzięła udział orkiestra wielka, której świetnie przewodniczył dyrektor Trombini. Oprócz towarzyszenia koncertantowi, orkiestra wykonała na początku uwerturę z opery „Wolny Strzelec“ Webera, pozyskawszy huczne brawa.

Dziwne było usposobienie publiczności warszawskiej, w salach ređutowych zgromadzonej tłumami na koncercie Władysława Mierzwińskiego, który po czteroletniej przerwie, d. 1 b m. u nas zaśpiewał, przeznaczając dochód cały na pomnik Moniuszki.

Szlachetny to czyn dobrego, szlachetnego serca wielkiego artysty!

Powątpiewali jedni o głosie Mierzwińskiego, — ci zaś, co go mieli sposobność słyszeć prywatnie, z uśmiechem politowania spoglądali na sceptyków, pewni olbrzymiego powodzenia „króla tenorów“.

Oczekiwano z niecierpliwością ukazania się artysty. Tłum huczał, falował, mruczał... Nagle uciszyło się wszystko! Po chwili przeciągły oklask powitał wchodzącego na estradę śpiewaka.

Nic się nie zmienił. Ta sama twarz piękna, o regularnych rysach, ta sama postać wspaniała o herkulesowych ramionach, ta sama grzywa nad czołem!..

Pieśnią „Cantique de Noël“ Adam'a rozpoczął Mierzwiński swój olbrzymi program. Pierwsze dźwięki tego imponującego głosu przekonały niedowiarków, że artysta nic ze swego materiału wokalnego nie stracił, owszem wyrzeźbił go jeszcze kunsztownie.

Podstawa woluminu głosowego: tony niskie i średnie drgają najczystszy metal. Górne dźwięki, jak zawsze, zdumiewające i pewne.

A w wykonaniu kunszt mistrzowski! *Mezza-voce* w podziw wprowadza delikatnością i precyzyją; filowanie głosu na wysokich tonach prześlizgane; tryl jakby u koloraturowej śpiewaczki, — a nadto zapal, szczerść uczucia, prostota i stylowość — oto cechy charakterystyczne znakomitego śpiewu Mierzwińskiego.

„Ideale“ Tosti'ego dostarcza artyście pola do wykazania najdelikatniejszego frazowania utworu, co w jeszcze wyższym stopniu uderza w interpretacji tegoż kompozytora znanej pieśni: „Vorrei morir.“

I indywidualnie, z młodzieńczą energią, odtworzył Mierzwiński jeden z ostatnich a bardzo piękny i natchniony utwór Aleksandra Zarzyckiego, p. t. „Dola“, którą artysta musiał na żądanie powtórzyć. Poetycznie odśpiewał też Mierzwiński „Dumkę“ Kratzer'a i „Krakowiaka“ Moniuszki.

Ale jak wykonał ten czarodziej śpiewu dumkę „Szumią jodły“, tego dowodził entuzjazm słuchaczy, okrzykami wyrażających swój zachwył. Nieśmiertelna aria Moniuszki była odtworzona po męku, z uczuciem, choć bez najmniejszego sentymentalizmu. Jakieżby to Jontek był z Mierzwińskiego! A może... a może go kiedyś jeszcze w tej postaci ujrzymy.

Wywdzięczając się za przyjęcie, artysta nad program koncertu wykonał romans Raula z pierwszego aktu „Hugonotów“. Była to interpretacja fenomenalna pod każdym względem.

Akompanjował genialnemu śpiewakowi po mistrzowsku p. Ludwik Urstein na fortepianie wybornym z fabryki braci Kerntopfów.

Pozostawił tedy Władysław Mierzwiński po sobie najgorętsze wspomnienie. Sekcja Moniuszkowska towarzystwa muzycznego z prezesem swoim p. Zahorowskim na czele wręczyła dobroczynnemu artyście dyplom na członka honorowego.

Nie wypuścił Mierzwiński berła z ręki i, jak dawniej, króluje nad całym zastępem tenorów współczesnych.

Adam Dobrowolski.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwow, w Styczniu.

Lwów bawi się szalenie. Karnawał jest tu zawsze chwilą największego podniecenia życia towarzyskiego; co prawda jedynym, rzeczywistym jego przejawem, tegoroczne jednak ożywienie tak jest ogólne i tak niezwykłego sięga diapazonu, że można, by tu niemal sparafrazować wykrzyknik arlekina z Maryi Malczewskiego i śpiewać z nim razem: „Czy znasz ty lwowskie zapusty?“

Do zapust jeszcze daleko, tymczasem jednak życie karnawałowe wre w najlepsze i prócz niezliczonego mnóstwa wieczorów i wieczorków prywatnych, każdy dzień, a raczej wieczór przynosi jakiś bal korporacyjny, lub z filantropijnym połączony celem.

Obecne chwilowe ożywienie stanowi jaskrawy kontrast ze zwykłym trybem życia spokojnych, co-kolwiek apatycznych Lwowian; przeciętnie życie towarzyskie naszego miasta płynie sobie wolniutkim i tak dyskretnym strumykiem, że — niemal domyśleć się trudno jego egzystencji. Poobiednia kawa dla pań, gdzie nie gdzie partya winta lub preferansa dla panów oto niemal wszystko, co mamy w tym zakresie, domy wyznaczające *jours fix* dla swoich znajomych, należą do nielicznych wyjątków.

Na wytłomaczenie jednak, tego dziwnego jak w naszym społeczeństwie przejawu, trzeba przytoczyć dwie wiele wyjaśniające okoliczności: przede-wszystkiem szaloną drożyznę wszelkich artykułów codziennej potrzeby, dzięki czemu Lwów ma honor być zrównanym pod względem cen z najbogatszymi stolicami Europy, a dalej wielką ilość klubów, stowarzyszeń, instytucji towarzyskich, społecznych, fi-

lantropijnych i naukowych, nietylko męskich ale i wyłącznie znów kobiecych, gdzie się ludzie, schodzą, widują, gdzie wymieniają się myśli i scierają się zdania.

Tej zimy jednak królowa *zabawa* ujęła berło i rządzi naszym miastem niepodzielnie, ofiarowując swym czcicielom wszelkie kategorie i odcienia przyjemności. Nieustające, a umiarkowane mrozy sprzyjają rozwijaniu się łyżwiarskiego sportu, który uprawia zda się cała bez wyjątku nasza młodzież. Oprócz kilku prywatnych przedsiębiorstw, utworzył się klub łyżwiarski, a że Lwów obfituje w obszerne i piękne stawy, więc też nie brak miejsc doskonale urządzone, oświetlonych elektrycznością, gdzie roje zgrabnych, młodzieńczych postaci oddaje się tej tak miłej i higienicznej rozrywce przy dźwiękach kapeli, co naturalnie dodaje animuszu.

Szereg balów o różnych celach i odcieniach snuje się na tanecznej arenie niyb w barwnym kalejdoskopie; bawiliśmy się już na balu *Białym*, za którym mają pójść i inne kolorowe, tańczymy na rzecz Głodnych dzieci, Kolonii Rymanowskich, Techników, Akademików i t. d., trudno bowiem zapomnieć te wszystkie pozory zabawy, jakich miłośdziej i pomysłowość ludzka nie szczędzi, by zadowolnić obie strony; istotną potrzebę, choć zapomniana na chwilę w wirze walców lub zwrotach mazura, o nurzącej sarości powszednich dni...

Najświetniejszą atoli z dotychczasowych zabaw był bezsprzecznie *Bal prasy* urządzonej na rzecz założonego przed kilku laty Towarzystwa wzajemnej pomocy dziennikarzy, które po za moralnymi celami, wytknęło sobie i ten pierwszorzędnej wagi, by dostarczyć jednorazowego zasiłku, lub stałej pomocy dziennikarzom nie mogącym już pracować lub po śmierci tychże — ich wdowom i sierotom. Ze cel to piękny, przemawiający sam za sobą i godny najszerszego poparcia — samo się już przez się rozumie bo jeśli kto — to dziennikarze szarpiący codziennie w gorączkowym pośpiechu swoje siły i zdrowie, rzucający pod stopy publiczności zmiennej, wiecznie nowości łaknącej najlepsze, najbujniejsze, cząstki swego jestestwa, swój talent i wiedzę — oni powtarzamy mają wszelkie prawo by społeczeństwo pomyślało o ich niezem nie zapewnionym losie, i w razie potrzeby udzieliło im pomocy.

Towarzystwo nasze rozwija się pomyślnie, pomyślnie ta atoli warunkowaną jest w pierwszym rzędzie wysokością kapitału jaki zgromadzić się uda, bal zatem, o którym wspominaliśmy, był jednym ze środków, jakich energiczny zarząd obecny nie zaniedbuje, by pożytecznej instytucji zapewnić powodzenie.

Dowodem niezwykłego również rozbawienia się miasta, może być wielka maskarada, czyli jak tu podawnemu nazywają *reduta* projektowana za dni kilka.

Ten rodzaj zabawy powtarzany dawniej kilkakrotnie w każdym karnawale, tak się ostatecznie spopolitował i stracił na wziętości i uroku u wykwiutniejszych sfer towarzystwa, że ostatecznie reduty zostały od lat kilku zupełnie zaniechane. Obecnie jednak ma się odbyć jedna tylko ale na wielką skalę, a zainteresowanie się nią publiczności jest tak wielkie, że już dziś niema ani jednej wolnej łoży dla spektatorów.

Przynętę i zaciekawienie stanowi tu pochod *Stu dyabłów*. Przedstawicielami otchłani piekielnych, będą amatorzy odpowiednio, a fantastycznie ukostyumowani odznaczający się *dyabelskim* humorem i dowcipem.

Pomysł rzeczywiście oryginalny i ciekawy. Lecz nie sądzcie szanowne czytelniczki, że tylko nogi nasze doznają uciech i przyjemności: owszem chwila obecna dostarcza ich w każdym kierunku, wynagradzając nas w ten sposób za nudy i pustkę jesiennego sezonu.

Okres koncertów spóźnił się, a przeciętnie pora karnawałowa nie sprzyja ich powodzeniu.

Lwów jednak kocha muzykę rzeczywiście i spragniony jej jest zwłaszcza o ile danem mu doznawać takich artystycznych podniosłych rozkoszy, jakich dostarczać musi każdemu gra Śliwińskiego i Melcera. Obaj artyści koncertowali tu z wielkim powodzeniem, a utwór konkursowy Melcera spotkał się z olbrzymim uznaniem i pochwałami fachowych krytyków i zamiłowanych melomanów.

Melcer da tu zapewne drugi jeszcze koncert, to samo przyrzekł również i Sliwiński w powrocie z Odessy zachęceni tak entuzjastycznymi owacyami, na jakie publiczność lwowska rzadko tylko się zdobywa.

Teatr darzy nas obecnie również tem, co miasto nasze, a raczej jego intelligentni przedstawiciele lubią i cenią najwyżej t. j. operą.

Sezon operowy spóźniony o cały miesiąc rozpoczął się z dniem 1-ego stycznia. Gdybyśmy za to spóźnienie wynagrodzeni zostali doborowym składem śpiewakami, wzmocnioną—jak to było obiecane orkiestrą, poprawionymi chórami i starannie, a zajmującą ułożonym repertuarem — wszystko byłoby w porządku i nikt by się nieżalił.

Ale jakżeż dalekiem jest marzenie od rzeczywistości!

Na początek wysłuchaliśmy Hal i w nawpół operetkowej obsadzie. Dalej dwukrotnie wystawiono Fausta, którego za pierwszym razem reprezentował p. Roland, debutant o pięknym głosie i wielce obiecujących na przyszłość warunkach, dziś jednak nie posiadający jeszcze ani metody, ani najłżejszej bodaj rutyny. Po raz drugi przedstawił Fausta p. Rosatti tenor włoski, który podobno zostanie z nami już przez cały sezon. Śpiewak to wytrawny, ale zmanierowany i o głosie nieznośnie tremolującym.

Jednak wiele jeszcze mniej szczęśliwą przedstawicielkę miała poetyczna Małgosia w p. Thorsen Jankowskiej, szumnie zapowiadanej primadonny sceny warszawskiej.

Głos suchy, bezdźwięczny, niesympatyczny sposób śpiewania i akcentowania zraziły publiczność tak dalece, że wątpimy czy po pierwszych dwóch występach, śpiewaczka da się jeszcze słyszeć.

Dotychczas, zamiast zapowiedzianych nowości, a między niemi „Dziewczyny z Nawarry,“ mieliśmy znów dla odmiany Fausta i Halkę, a dalej osłuchaną już Faworitę i Cavallerię z tą jednak wielce korzystną różnicą, że stanowisko primadonny objęła p. Aleksandra Dąbrowska z Warszawy.

Sliczny, rzeczywiście fenomenalny niemal głos p. Dąbrowskiej porwał i zachwycił całe audytorium od pierwszych zaraz taktów, a jakkolwiek artystka śpiewała następnie w niezupełnie odpowiednich dla siebie i zbyt forsownych partycjach (Halka, Małgorzata), Prześliczny jej organ wyszedł z nich zwycięsko, a nie sympatyczna zadzierzgnięta pomiędzy artystką i publicznością, zacieśnia się co raz bardziej i trwa. Jeśli wieść o pozyskaniu na cały sezon p. Gemmy Bellincioni, która cieszy się niezwykłą u nas sympatią okaże się prawdziwą, w takim razie żeński personel wspomagany siłami młodzieńczej panny Bobusówny i zawsze wybornej, a niestrudzonej pani Kasprowicowej — zapowiada się wcale dodatnio, wśród mężczyzny filar śpiewaków i ozdoby, stanowi p. Jeromni i Warmuth.

Na polu dramatu i komedii mieliśmy kilka ciekawych nawet nowości swojskich i obcych. Wśród tych ostatnich, na pierwszym miejscu wymienić należy Sudermana — „Szczęście w Zakątku.“

Zdaje się, że ten ponury obrazek szczęścia ludzi, — którzy cprawda najmniejszych doń nie posiadają warunków — nie utrzyma się długo na repertuarze publiczność lwowska w ogóle nie lubi, a powiedzmy szczerze — w rzadkich tylko wyjątkach potrafi się dostroić do wysokiego i nawskroś oryginalnego diapazonu uczuć i myśli pisarzy północnych. Ten cokolwiek brutalny sposób wypowiedzania prawdy, zupełny rozbrat z utartą formułą i komunałem, a wreszcie rozpaczliwa filozofia życiowa — nie mogą się podobać ogółowi: zbyt odskakują od szablonu jego światopoglądu.

Co do „Szczęścia w Zakątku“ — to rzeczywiście zdaniem nawet najpoważniejszych zagranicznych krytyków, nosi ono znamiona jakby pewnego omglenia twórczości głośnego dramaturga. Nawet strona psychologiczna charakterów zazwyczaj tak mistrzowsko przeprowadzona u Sudermana — tu chwieje się i płacze; cyniczna niemal, a podług autora filozoficzna pobłażliwość starego męża i nagły, a radykalny przełom w uczuciach młodej żony, nie mają dość podstaw prawdy życiowej i zawierają zbyt wiele ustępstw na rzecz pogodnego, scenicznego zakończenia.

Być może — że znakomita niemal genialna gra artystów, podniosła by sztukę posiadającą kilka ról popisowych: atoli poprawna tylko i średnia niezdo-

łała wydobyc na jaw wszystkich subtelnych intencji autora, jego genialnych niekiedy rzutów myśli.

Rzeczy oryginalnych przedstawiono na scenie Skarbkowskiej w ostatnich czasach trzy.

Trzymając się chronologicznego porządku, musimy wspomnieć najprzód o sztuce w czterech aktach p. Jana Kazimierza Zielińskiego p. t. „Mira.“ Nie doznała ona powodzenia i po dwóch przedstawieniach zeszała z afisza. O „Historji jakich wiele“ Zygmunta Przybylskiego nie piszę wiele, gdyż Warszawa zapozna się z nią sama ze sceny teatru Rozmaitości. Tutaj podobała się ta komedia pełna prawdy życiowej, choć nie posiada już tej werwy, zycia, humoru, jakie zazwyczaj cechują utwory utalentowanego autora *Wicka i Wacka*. „Odgrzewana Miłość,“ Żegoty Krzywdzica jest również komedią, lecz o wiele poważniejszym, chwilami tragicznym niemal nastroju. Fabuła toczy się bardzo zwięźle dokoła młodej pary rozwiedzionych małżonków, którzy za późno, gdyż żona zawarła już powtórne małżeństwo spostrzegają jak fałszywy krok popełnili, rozchodząc się.

Miłość dziś już zakazana ze zdwojoną siłą wybuch w ich sercach i już ma ich zaprowadzić na występne manowce wspólnej ucieczki za granicę, gdy szczęśliwie budzą się w nich szlachetniejsze instynkty, które pozwalają skierować myśl i życie ku poważnym, ogólniejszym celom.

Szlachetna tendencya jaką utwór cały jest przejęty — atoli bez przesady i szkody dla artystycznej jego strony — pozwala się zdobyć autorowi na kilka momentów prawdziwie silnych i podniosłych.

Akcyja toczy się żwawo i naturalnie bez interwencji tak zużytych już listów lub podsłuchiwań; dialog żywy i cięty — zbyt cięty wielokrotnie, taki — jakim nie posługują się nigdy ludzie choć jako tako dobrze wychowani.

Nieznosnym stał by się świat, gdy wszyscy zaczęli sobie mówić w oczy taką nagą i brutalną prawdę jak to ma miejsce w *Odgrzewanej miłości*. Nie mamy bynajmniej zamiaru apoteozować obfudy, lecz pewna wzajemna dyskrecyja, delikatność i wazenie słów wypowiedzianych, wydaje nam się być cenną zdobyczą cywilizacji.

Pan Żegota Krzywdzic nie jest początkującym na polu komedyopisarstwa; oprócz kilku innych, scena tutejsza wystawiła przed niedawnym czasem komedye satyryczno-obeyczajową tego samego autora p. t. „*Krzywi i pokaleczeni*.“

Dyrektor naszego teatru p. Zygmunt Przybylski od dłuższego już czasu ciężką jest złożony chorobą, temu też przypisać zapewne należy, różne braki repertuaru, a także niedobory w personelu teatralnym jakie się spostrzegają dają.

Świeżo znów rozeszła się pogłoska, że w skutek nieporozumienia z dyrekcją, p. p. Żelazowscy mają opuścić lwowską scenę; byłaby to wielka szkoda utracić artystę dużego talentu tembardziej, że teatr lwowski nie posiada obecnie nikogo do ról tragiczno-bohaterskich.

Na innej znów artystycznej niwie, t. j. w dziedzinie sztuk plastycznych, ruchu i nowin nie wiele. Jak dawniej miłości się wystawa obrazów w ciasnym, małym, źle oświetlonym i urządzonym lokalu prywatnym przy placu św. Ducha. Dużo było projektów i nadziei, że piękne, z góry oświetlone mauzoleum skupiające w swych ścianach podczas wielkiej Wystawy lwowskiej wszystkie utwory pędzla Matejki, zostanie następnie kupione na rzecz miasta i zamienione na stały przybytek sztuk pięknych. A potrzebujemy go tak bardzo!

Tymczasem jednak, budynek — z samego podobno żelaza wzniesiony — czy nie dał się przenieść do miasta z technicznych powodów, czy też zabrakło tylko po temu inicjatywy i energii w wykonaniu — dość, że nasze malarstwo i rzeźba nie mają się gdzie przytulić, pieknie zaś i gustownie Mauzoleum opada z tynku i niszczy się bezużytecznie podzielać w tem los wspaniałego Pałacu Sztuk pięknych, którego budowa wszakże sto pięćdziesiąt tysięcy pochłonęła. Samotny dziś, pusty i opuszczony, góruje on ciągle po nad całym parkiem stryjskim i miastem, dumając zapewne nad znikomością wszechrzeczy...

Gdyby Lwów, a raczej jego mieszkańcy mieli w tej chwili głowę wolną od dźwięków tanecznej muzyki i chrzęstu łyżew, a czas niezupełnie pochłonięty dobieraniem barw gazy i wstążek, podążyli by

zapewne niejednokrotnie bodaj do ciasnego przytułku sztuk plastycznych, gdzie jeden z saloników zajęty jest na wystawę szkiców młodego pokolenia naszych malarzy. Jest tam mnóstwo ślicznych drobiazgów, nęcących pomysłem, rysunkiem i kolorytem.

Z obrazów większych uderza nas duże płótno przedstawiające z dziwną wiernością i plastyką scenę sielską, choć bynajmniej nie sielankową. Wczesna wiosna. Drzewa jeszcze bez liści, a ziemia bez trawy, ale w powietrzu czuć już to coś, co bliski przyłot skowronków zapowiada. Na szarym ugorze, siedzi kilka typowych wiejskich kobiet zajętych krajaniem do sadzenia kartofli; na przeciw nich — jakiś karbowy czy parobek przeznaczonej widocznie do pilnowania roboty, opowiada coś tak zajmującego — że baby, aż noże popuszczały, a jedna z nich wychylona z dołu na kartofle, zapomina o swej niewygodnej pozycji i z zachwytem, tonie spojrzaniem w twarzy mówiącego. Obraz przykuwa wzrok siłą prawdy rozlanej w układzie figur i wyrazie twarzy. Nazwisko twórcy. — Damazy — mało znane.

Wojechieh Gerson nadesłał wielkie płótno. — *Odpooczynek*.

W dziwny jednak sposób odpooczywa ta dziewczyna rozciągnięta w swej brutalnej, nie estetycznej nagości wśród jakiegoś ni-wyraźnego otoczenia. Być może, że ta wielka masa ciała ma duże zalety rysunku, lecz nieprzyjemne sprawia wrażenie

Elegancją szykiem i szerokiem zacięciem cechuje się duży obraz *Spirydyona* przedstawiający strojny, hulaszczy karnawał — pod postacią pięknej kobiety w przebraniu maskaradowem. Panna Pająkówna przywozła z ostatniego swego pobytu w Paryżu cały szereg pięknych studyi, pełnych wdzięku i prawdy w szczegółach.

W. N.

Kronika działalności kobiecej.

— Donoszą z Petersburga, iż na ostatniem posiedzeniu Wolno-ekonomicznego towarzystwa podniesiona kwestya obowiązkowego wykształcenia rozciągała się i do kobiet.

— P. M. Szmitowa zamierzyła zorganizować w mieście naszym biuro pośredniczące w dostarczaniu pracy kobietom, wzorując się w tem na zakładach takich zagranicą. Rzec może być pożyteczną, zwłaszcza dla osób przybywających z prowincyi, więc nie znających stosunków miejscowych.

— Na wystawę nasion wszelkich roślin gospodarskich, produktów nabiałowych i wytworów wiejskiego gospodarstwa domowego, która otwartą będzie w d. 22-gim b. m., zgłaszać się trzeba do kancelaryi po blankiety deklaracyjne, które po wypełnieniu zwracać należy do tejsze kancelaryi, chociaż można również przesłać tylko zawiadomienie piśmienne. Między ważniejszymi deklaracjami mieszczą się dotąd zapisy: Maryi Rzętkowskiej z Jeziorka na kartofle, Maryi Gąsowskiej z Domaszownicy na nasiona, sery, mąkę, Maryi Skłodowskiej ze Stawiczyn na nasiona.

— Dochód z odczytu p. Zofii Jotejkówny, wygłoszonego w d. 4-ym Lutego, przeznaczony został przez tą panią na wydawnictwo i rozdawanie bezpłatne między ludem wiejskim i miejskim książeczek popularnych, za co powiedziec jej można z całego serca: Bóg zapłać.

— P. Skłodowska otworzyła przy ulicy Hożej czytelnia wyłącznie dla dzieci, zaopatrzoną w odpowiednie książki i pisma peryodyczne, co można nazwać dobrym przyczynkiem do kształcenia młodzieży naszej, bo niezawsze rodzice mogą i chcą je kupować. Przy ulicy Braekiej pod Nr 8-ym powstała czytelnia zostająca pod kierunkiem p. Jadwigi Siemieńskiej.

— Na wystawę stała w Salonie Krywulta przybyły dwa portrety: Maryi Dulembianki i Maryi Uszyńskiej; na wystawę Tow. sztuk pięknych przesłała Marya Nostitz Wasilkowska szereg portretów także, z pośród których miejsce pierwsze trzy-

ma portret D-ra Kr. Jakkolwiek skromnych rozmiarów należy on do najlepszych utworów utalentowanej artystki...

— W kancelaryi Towarz. popierania przemysłu i handlu rozpoczął się zapis kandydatek, pragnących wykształcić się w rysunku potrzebnym dla rękodzielniczek. Wykłady odbywają się co niedziela od godziny dziewiątej rano do jedenastej w Muzeum rzemiosł pod kierunkiem wykwalifikowanej specjalistki, p. Mirosławskiej. Po koniec ubiegłego miesiąca zapisało się 33 osób przeważnie ze sfery rękodzielniczej. Opłata wynosi 2 ruble na półrocze, a dodać trzeba, że znajomość rysunku potrzebną jest bardzo w zakresie pracy rękodzielniczej.

— Wiele kobiet wykształconych w dentystyce zagranicą, otwiera w mieście naszym gabinety, ale brak praktyki przy wielkiej konkurencji nie pozwala na pomyślne rozwinięcie się tej gałęzi pracy.

— Życie szlachetnie pędzone zostawia zawsze po sobie wdzięczną pamięć ludzi. Lubelskie Towarzystwo dobroczynności otrzymało od hr. Stanisława i Tomasza Grabowskiego 1,500 rs. z celem uczczenia pamięci Anny Dłuskiej.

— Księżna Marya Woroniecka zamierza utworzyć i utrzymać w Lublinie kosztem własnym przytułek dla kobiet upadłych w liczbie dwunastu, dając im możność moralnego odrodzenia się przez pracę, co jest najszlachetniej pojętym aktem miłosierdzia i miłości bliźniego. Zajmować się one mają robotami, z których dochód isć będzie na utrzymanie zakładu.

— P. Daniewska nadesłała do „Gazety Radomskiej“ dwadzieścia pięć tomów powieści, prosząc aby zostały doręczone zarządowi czytelnicy, a dar to jest bardzo szlachetny, bo dać umysłowi zajęcie dobre, to nie dopuścić złego.

— W d. 12 ubiegłego miesiąca, obchodzono bardzo uroczysto w Zurychu sto pięćdziesięcioletnią rocznicę urodzin zasłużonego ludzkości pedagoga, Pestalozzi a rzecz rozpoczęła się od przemowy, w której mówca wykazał, że matce jego zawdzięczać to trzeba, czem ubogacił kraj i ludzkość. Ojca stracił w dzieciństwie, ale ona umiała technąć mu w pierś szlachetnych uczuć siłę i pokierować myśl jego w stronę życia podniosła. Jej też jest to zasługą, że wdzięczni rodacy dali mu napis taki na kamieniu grobowym: „Opiekun ubogich, kaznodzieja swego narodu, ojciec sierot, założyciel nowej szkoły ludowej, człowiek chrześcijanin, obywatel.“

— Zmarła w Brest przeżywszy lat 63, siostra Joanna Chantal, przełożona zakonu sióstr Opatrzności, której pamięć wdzięczną przechowa długo Francya. Gdy podczas wojny w 1870 r. Prusacy opanowali miasto Chateaudon, ona z mężną odwagą w piersi ukryła wielu żołnierzy i wolnych strzelców w piwnicach klasztoru, lecz jeden z pośród tych ostatnich został schwyty i miał być rozstrzelanym, ona przecież przybiega mu na ratunek, błaga aby mu darować życie, gdy przecież otrzymać tego nie może, stawa przed nim i zasłaniając go sobą woła, aby ją pierwszej zabito, co rozbraja Prusaków. Ta scena szlachetnego bohaterstwa kobiety została uwieczniona w obrazie.

— Francya ofiarowała wdowie Carnota 375,000 franków, zebranych ze składek narodu, ponieważ zamordowany nieszczęśliwie, nie był bynajmniej bogatym. Ale szlachetna kobieta przyjąwszy wdzięcznie ten okaz miłości i czci narodu, przeznaczyła dar otrzymany na utworzenie funduszu wsparcia wdów obarczonych dziećmi. Procent od wyrażonej sumy, przynoszący rocznie 11,000 franków, ma być rozdawanym za pośrednictwem Akademii nauk moralnych wdowom po ludziach zasłużonych a niezamożnych po 200 franków każdej.

— Zakon sióstr Dominikanek, mający siedzisko główne w Augsburgu, założył w Afryce filię, liczącą

około 150 sióstr, które po skończeniu nowicyatu wykształcone na misyonarki rozsyłane są w różne miejscowości, aby niosły tam słowo boże i pojęcie życia moralne. Jedne pracują w tym kierunku jako nauczycielki, inne pielęgnują chorych, inne zajmują się gospodarstwem domowym, ogrodnictwem i razem niosą tu oświatę i podnoszą serca w piersiach ludzi.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż ministeryum komunikacji ogłosiło, że jeżeli podróżny wsiądzie do wagonu kolei bez biletu, lub za biletom niewłaściwej klasy, to opłata za przejazd ma być pobierana w wysokości podwójnej, obok tego ściągniętym być powinien podatek skarbowy w wysokości normalnej.

— Według pogłosek postanowiono wydać nową listę wynagrodzenia właścicieli koni w razie ich dostawy do wojska podczas poboru końskiego.

— W niedzielę ubiegłą, to jest d. 2-go lutego, odbył się w sali warszawskiego Muzeum przemysłu i rolnictwa odczyt na rzecz Towarzystwa dobroczynności, wygłoszony z katedry przez p. W. Gostomskiego „O wszechwładstwie powieści nowoczesnej.“ Treść przedstawiała przewagę w literaturze powieści prozaicznej, przyczem prelegent wykazał dodatnie i ujemne jej wpływy, jej stosunek do innego rodzaju utworów literatury pięknej i przypuszczał jej upadek w przyszłości. A przecież powieść jest potrzebną w literaturze, jako odzwierciedlanie życia epoki i potrzeba tylko pisarzy z talentem wyższym, podniosłej idei życia ludzkości, a powieść spełni wtedy zadanie swoje w literaturze.

— W d. 1-ym lutego odbyło się zgromadzenie członków Tow. ogrodniczego pod przewodnictwem wice-prezesa, p. Jankowskiego. Budżet na rok bieżący przewiduje dochodu 10,270 rs., a to: ze składek członków 6,900 rs., z wynajmu lokalu 2,800 rs., z wystawy sezonowej 500 rs. Wydatki przedstawiają 10,310 rs., pensye służby 1,500 rs., utrzymanie domu i ogrodu 700 rs., premia dla członków 500 rs., prenumerata „Ogrodnika Polskiego“ 2,600 rs.; procent należny p. W. Rau 1575 rs., rata Tow. kredytowego Warszawy 703 rs. P. J. Kaczyński zaproponował, aby część ogrodu w Bagateli przeznaczyć pod uprawę drzewek owocowych, które następnie były by wydawane właścicielom bezpłatnie w ilości 1,000 sztuk rocznie.

— Zamiar wytworzenia w mieście naszym Towarzystwa opieki nad choremi leżącymi w domach, został poruszony. Przed kilku dniami odbyły się narady z udziałem p. I. Kaufmana, głównego inicjatora tej dobrej, wielce potrzebnej rzeczy, a po odczytaniu projektu ustawy, uznano go za odpowiedni i postanowiono przyłożyć rękę do dzieła.

— Na rzecz budowy kościoła na Woli wydana była w swoim czasie piękna reprodukcja obrazu Adryana Głabockiego „Czyścicie“, formatu dużego arkusza. Pewna liczba kopii tego obrazu wielkości formatu dużego arkusza, mieści się na składzie głównym w księgarni Gebethnera i Wolffa, oraz w kancelaryi parafialnej kościoła Ś-go Stanisława na Woli.

— W d. 6-ym lutego odbyło się w Salach Muzeum rzemiosł, Krak. Przedm. Nr. 66, zebranie ofiarodawców i protektorów Muzeum, którego zarząd prosił wszystkie osoby zajmujące się rozwojem tej instytucji i w ogóle postępowaniem rzemiosł w kraju, aby zechciały poznać działalność Muzeum, oraz jego zbiorami.

— W przeszłym tygodniu na ogólnym zgromadzeniu członków Tow. Dobroczynności, któremu przewodniczył prezes, ks. Michał Radziwiłł, zatwierdzono postanowienia, których zarząd obowiązany jest trzymać się stale przy udzielaniu pożyczek hipotecznych z funduszu Towarzystwa, a to: Towarzystwo udzielać je będzie wyłącznie na nieruchomości murowane, zupełnie wykończone, położone w Warszawie, obok tego pożyczki nie mogą przenosić $\frac{3}{4}$ wysokości pożyczki, udzielonej przez Tow. kredytowe m. Warszawy. Na nieruchomości nie obciążone pożyczką Tow. kredytowego może być udzielona pożyczka do wysokości $\frac{2}{3}$ szacunku ogniowego z dodaniem jednej trzeciej części.

— D-r Jan Karłowicz, redaktor czasopisma Wiśła, został mianowany przez Iwowskie Towarzystwo etnograficzne, członkiem honorowym.

— Zbiory uniwersyteckie, mieszczące się przy wszechnicy krakowskiej, a składające się z gabinetów historii sztuki, archeologii i kolekcji numizmatycznej, pozostały połączone w jedną całość. Professor Marian Sokołowski objawszy tu dyrekcyą wywiązał się z zadania swego z chlubną starannością, a w skutek zestawienia ze sobą oddzielnych kolekcji można było dokonać systematycznej i naukowej ich organizacji. Gabinet historii sztuki posiada zbiory bardzo cenne, bibliotekę zaopatrzoną w dzieła wyższej wartości i wszystkie najnowsze wydawnictwa, oraz zbiór fotografii, liczący 1,900 sztuk. Hrabia Karol Lanckoroński złożył tu w darze odlewypisów, dające wyobrażenia o różnych epokach rzeźby, poczynając od Praksytelesa. Zbiór pieczęci od najdawniejszych, aż do naszych czasów jest bardzo bogaty, a jako ilustracya służą tu notaty, druki, reprodukcje licznych rysunków i akwarel, wykonanych przez Ludwika Łepkowskiego. Teka druga, opatrzona też aktami objaśniającymi, przedstawia rysunki grobowców podwawelskich, a jest tu także wiele aktów, protokołów, listów, ztąd bardzo ważnych, bo wykazujących szczodroliwość i umiłowanie sztuki takich znawców, jak Żebrowski, Aleksander hr. Przeździecki, Matejko. Ułożone to jest wszystko w szafach i spisane katalogicznie, a obok mieszczą się monety greckie i rzymskie, medale papieskie, oraz nasze i inne, a wszystkie cenne bardzo. Znajduje się tu zbiór liczny, wykopany w starożytnej wsi Mniszki, dar p. Pawłowskiego; hr. Benedykt Tyszkiewicz złożył też dar może najcenniejszy: ogromny pułk szklany z końca XV wieku, roboty weneckiej z herbami trzech ziem, oraz z herbem domu Jagiellońskiego i rakuskiego.

— Dzienniki wiedeńskie rozpisują się szeroko o rytowniku Chodowieckim z powodu, iż wyszła jego mografia, wydana w Berlinie z rycinami, a jest ona jedynie dokładną. Autor uważa go za niemca, jakkolwiek przytacza jego listy, mieszczące się w bibliotece jagiellońskiej, w których on sam występuje gorąco przeciwko temu, w obronie narodowości swojej.

— W marcu roku bieżącego otwartą będzie w Marsylii między narodowa wystawa przedmiotów mających związek z podróżami i higieną. Informacyi bliższych udziela zarząd wystawy, do którego adresować należy: Exposition de Marseille, boulevard Pons, 8. Prado Marseille.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Czy to miłość?** przez Franka Frankfort Moore'a. Przekład z angielskiego, t. II, ark. 5.

TREŚĆ: Z dziejów wiedzy. — Notatki pedagogiczne, przez M. I. — Zwierciadło, przez Bronisława Grabowskiego. — Kądy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Adama Dobrowolskiego. — Korespondencya zagraniczna, przez W. N. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: **Czy to miłość?** powieść przez Franka Frankfort Moore'a przekład z angielskiego tomu II-go, ark. 5. Przegląd mód. 14 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.